SALONOWE BURZE

BOHDANA GADOMSKIEGO

Za progiem mam Hollywood, ale nie sposób tam się dostać

Jak zostać Amerykanką

Rozmowa z BARBARĄ KRAFFTÓWNĄ

Barbara Krafftówna, lat 77, Strzelec, wybitna i wszechstronna aktorka, która od 20 lat mieszka w Ameryce (Los Angeles), gdzie wyjechała w 1983 roku na gościnne występy do roli tytułowej w „Matce" Witkacego. Amerykańscy krytycy przyznali jej wtedy nagrodę pisma „The Drama Logue". Do Polski po latach przyjechała z „Medytacją o dziewictwie" według Gombrowicza, gdzie występowała z amerykańskimi aktorami. Do światowej kinematografii weszła jako Felicja w filmie „Jak być kochaną". Za tę rolę otrzymała Złote Wrota na Festiwalu Filmowym w San Francisco. Ale gwiazdą była i nadal jest, przede wszystkim w Polsce. To tutaj w ostatnich latach reżyserzy obsadzali ją w szeregu filmów i seriali: „Bank nie z tej ziemi", „Sceny domowe", „Szczęście na telefon", „Więzy krwi", „Król przedmieścia". Na tegorocznym Festiwalu Gwiazd w Międzyzdrojach odciskała swoją dłoń na Promenadzie Gwiazd i była ulubienicą publiczności.

– Różnie się o pani ostatnio mówi, a to że przyjechała pani do Polski, ale zaraz wyjedzie, że już nigdy nie będzie na stałe mieszkała w Polsce, że w Ameryce zapuściła pani tak mocne korzenie, że nie ma mowy, abyśmy panią odzyskali...

– Jestem w takiej samej sytuacji, jak do tej pory, czyli część sezonu mieszkam w Polsce, a część w Los Angeles. Na zimę uciekam do ciepłego klimatu, gdzie spędzam cztery, pięć miesięcy, a przez resztę roku mieszkam w kraju, nie tylko w Warszawie. Od niedawna rozpoczęłam proces przesiedlania się na stałe do Polski. Niestety, jak do tej pory, w żaden sposób mi to nie wychodzi.

– W jaki sposób zamierza pani przewieźć przez ocean cały swój dobytek, zgromadzony przez 20 lat w Ameryce?

– To zapowiada się tragicznie, ale na szczęście nie jest tego dużo. Pozostaje widmo udręki pakowania się (choć powinnam mieć w tym wprawę, bo dużo podróżuję), selekcjonowania rzeczy, dzielenia na przedmioty cięższe i lżejsze.

– Dlaczego to tak długo trwa?

– Zamiast segregować, przenosić, wyrzucać różne rzeczy, ja ciągle robię za artystkę, bo ciągle mam jakieś propozycje, których nie odrzucam. To blokuje mi działania związane z przenosinami do Polski. Ale nawet jak już uporam się z tym wszystkim, a starość mnie nie pokona, będę chciała poruszać się po świecie, wyjeżdżać z Polski ze względów klimatycznych.

– A co z tak zwanymi korzeniami?

– No właśnie. Tylko że w Polsce moi dawni przyjaciele w większości już odeszli. Zamiast nich jest przy mnie w Ameryce nowa generacja przyjaciół, z którymi wkroczyłam w nowe tysiąclecie. To też opóźnia moją decyzję powrotu do Polski na stałe.

– Jak postrzega pani te dwa światy?

– Różnice są ogromne, ale w niektórych przypadkach zacierają się lub już się zatarły, jako że jesteśmy narodem niezwykle wrażliwym, inteligentnym. Mamy cechy, które na co dzień może przeszkadzają, ale w całej naszej historii przedstawiamy się jako naród niezwykły, z niezwykłą historią.

Wierzę w swoje przeznaczenie i nie opieram się intuicji

– Wyjeżdżając do Ameryki, zapewne miała pani świadomość, że zniknie z rodzimego rynku aktorskiego?

– Nie zastanawiałam się nad tym, może dlatego, że wyjechałam tam na chwilę, ale w czasie dosyć trudnym dla Polaków. Miałam jednak świadomość, jak ciężkiego zadania się podejmuję, wręcz eksperymentu, i tak byłam tym pochłonięta, że takich analiz nie przeprowadzałam. Po prostu – jechałam tam, bo otrzymałam propozycję zagrania tytułowej roli w „Matce" Witkacego. Zaabsorbowana tym, co czekało mnie w Ameryce, nie miałam czasu na rozważania – czy zniknę z polskiego rynku aktorskiego, czy nie. Potem okazało się, że nie musiałam się o to martwić, bo nadal były powtarzane programy Kabaretu Starszych Panów z moim udziałem, spektakle telewizyjne i filmy.

– To specjalnie dla pani stworzono w Kabarecie Starszych Panów Imogenę Rififi, co lubiła draki i Krwawą Basię?

– Tak, to postać z krwi i kości. Żeby zagrać Kabarecik, trzeba było najpierw się dobrze wyśmiać. Śpiewałam tam „W czasie deszczu dzieci się nudzą", „Zakochałam się w czwartek, przypadkiem", „Przeklnę cię". Widzowie przyznali mi Złotą i Srebrną Maskę.

– Tak było w kraju, przed laty, a w Ameryce? Jak poradziła sobie pani z angielskim?

– Nie znałam wtedy tego języka, więc musiałam się go uczyć fonetycznie. To, żebym zagrała po angielsku w Los Angeles, wymyślił Leonidas Ossetyński, który był niezwykłym oryginałem. Potężny, z siwą głową, po prostu Wernyhora, a do tego ułańska fantazja. Aktor jeszcze przedwojenny. W Los Angeles prowadził własne studio aktorskie, młodzież była nim zachwycona. Przy nim wszyscy czuli się nawiedzeni sztuką i duchem. Kiedy usłyszałam, że mam zagrać w „Matce" po angielsku, w pierwszej chwili myślałam, że to pomyłka. Podjęłam jednak ryzyko, chociaż była to benedyktyńska praca. Uczyłam się fonetycznie dźwięków, korzystając z angielskiego nagrania na taśmie. Ale samo nauczenie się tekstu na pamięć to jeszcze nie taka wielka sztuka. Trudność polegała na tym, żeby wejść w specyficzny klimat języka i dołożyć do tego specyficzny dla Witkacego styl.

– Ten eksperyment pomógł pani w opanowaniu angielskiego?

– To dwie różne sprawy. Tłumacz używał języka staroangielskiego, różnice wychwytywałam natychmiast, nawet nie znając języka. Zrozumiałam, że to nie jest droga do opanowania umiejętności porozumiewania się po angielsku. Dzięki półrocznej pracy nad „Matką", „podkopałam się" pod język angielski, byłam z nim już trochę osłuchana, ale uczyłam się go dopiero w szkole. Długo trwało, zanim poczułam się w tym języku swobodnie. Fizycznie pracowałam nad tym 8 miesięcy.

– Czy dzisiaj nie żałuje pani swojej decyzji?

– Absolutnie nie. W Ameryce wiele zyskałam, dużo się nauczyłam, zresztą cały czas się uczę. Układ gwiazd wróżył mi satysfakcję zawodową. Wy-

Mieszka w Los Angeles i w Polsce. Ale już zaczęła proces przesiedlenia do kraju. Na zdjęciu: Barbara Kraftówna odciska dłoń na Promenadzie Gwiazd w Międzyzdrojach

stępowałam z młodymi w sztuce opartej na Gombrowiczu. Zaczęłam reżyserować. Na początek „Kram z piosenkami" Leona Schillera.

– Za mało wiadomości docierało do Polski o tym, co Krafftówna robi w Ameryce...

– Kiedy w Polsce, z okazji Roku Gombrowicza, objechałam 5 miast z teatrem amerykańskim i sztuką „Medytacje na temat dziewictwa", gdzie grałam Alicję, to reklama też była bardzo mała. Ale za to wyniosłam wspaniałe wrażenia z kontaktów z polską publicznością. Koledzy amerykańscy byli oczarowani tą wizytą i Polakami.

– Co takiego frapującego jest w Witkacym i Gombrowiczu, że w ich sztukach gra pani najchętniej?

– Niezwykle pobudzają wyobraźnię i dają aktorowi nieograniczone możliwości na scenie. Wizje i deformacje Witkacego są wysoce artystyczne, w przeciwieństwie do deformacji współczesnego życia, które są jedynie dowodem chorej wyobraźni.

– Choć mieszka pani tak długo w Los Angeles, nie udało się pani wejść do filmu amerykańskiego.

– Weszłam do filmu amerykańskiego, ale nie takiego, o jakim pan myśli. Zagrałam w dwóch produkcjach. Jedna nosiła tytuł „Jak zostać Amerykanką", a reżyserka pochodziła z Ukrainy. To było bardzo ciekawe doświadczenie. Scenariusz dotyczył spraw narodowościowych, zderzał słowiańskie tradycje ze współczesnym światem amerykańskiej młodzieży.

– A poza tym?

– Miałam propozycje teatralne i dawałam koncerty w Instytucie Międzynarodowym, wspomagającym emigrantów z różnych krajów. Jego dyrektorem był mój mąż, Arnold Seider. Planowaliśmy razem podróże i spokojną starość. Zawał przekreślił te plany. Występowałam także w środowiskach polonijnych San Francisco – w Instytucie Fryderyka Chopina i na parafialnej scenie, a także w Los Angeles, Nowym Jorku, Detroit i Chicago. Na koncertach śpiewałam piosenki Kabaretu Starszych Panów. W Polsce, w ramach Złotej Kolekcji, ukazała się moja płyta z tymi piosenkami, także z Kabaretu pod Egidą i wieloma innymi.

– Jak poznała pani pierwszego męża?

– Moim pierwszym mężem był aktor Michał Gazda. Poznałam go w Teatrze Rozmaitości, a zaprzyjaźniliśmy się na... pochodzie pierwszomajowym. Po dwóch tygodniach oświadczył mi się. „Namyślaj się tydzień – powiedział. – Dzisiaj jest 17 maja". Przypomniałam sobie przepowiednię wróżki, że będę miała dwóch mężów i decydującą datą w życiu będzie 17 maja. Zgodziłam się natychmiast. W czerwcu był nasz ślub. Przeżyliśmy razem 17 lat. Nasz syn Piotr próbował zdawać do szkoły aktorskiej, ale w końcu został archeologiem i mieszka w Kanadzie. Ma syna Michała, który studiuje kryminologię na prawie. Po śmierci męża zapomniałam o wróżbie. Aż pewnego dnia, na widowni, zobaczyłam mężczyznę podobnego do mojego męża. I znów wróżba się spełniła. Wierzę w swoje przeznaczenie i nie opieram się intuicji.

– Drugi mąż zmarł na atak serca i znów została pani sama i to na obczyźnie. Nadal będzie pani emigrantką rozdartą między dwa kraje?

– Nie mam nic wspólnego z emigracją, bo wyjechałam na kontrakt. Drugi mąż był piękny, ale nie bogaty, choć pochodził z majętnej rodziny. Kiedy się poznaliśmy, był już emerytem. Ale to był TEN mężczyzna. Pół roku po ślubie zmarł na zawał serca. Taki cios zostawia ślad. Ale ja to trzymam w sobie.

– Jest pani zawsze pogodna, uśmiechnięta, ciepła i serdeczna dla wszystkich. Czyżby obce pani były zmienne nastroje i rozmaite chandry?

– Miewam zmienne nastroje, bo każdego dopada czasami słabość. Ale oczywiście jestem optymistką, nawet niepoprawną. W tym tkwi moja siła. A poza tym nigdy nie proszę Boga o coś, co mogę zrobić sama. Nie trzeba uważać siebie za pępek świata. Kochając siebie, trzeba być otwartym na innych. Za progiem mam Hollywood, ale nie sposób tam się dostać. Żyję więc w Ameryce prozaicznie. Nie żałuję niczego. Los daje mi to, co zapisane w gwiazdach. Ale moje są szczęśliwe.

– Wiek ma dla pani jakieś znaczenie?

– Jasne. Dla każdego, bo każdy z nas zauważa w sobie zmiany wraz z upływem czasu. Dziękuję opatrzności i własnemu charakterowi, że zapominam o swoim wieku, mimo że ponoć jeszcze nie mam sklerozy.

– Czuje pani przemijanie?

– Zauważam, ale nie swoje, lecz to, co przemija obok.

– Czy zmieniałaby pani coś w swoim życiu, patrząc na nie z perspektywy czasu?

– Niczego bym nie zmieniała, bo mimo potężnych ciosów życiowych uważam, że obdarowana zostałam przez los i zawodową egzystencję wprost nadzwyczajnie. Trzeba czuwać nad swoim losem, nad higieną duszy. Ważna jest dyscyplina fizyczna i duchowa. Tego mnie również nauczono podczas okupacji na tajnych kompletach u Iwo Galla. Trafiłam tam dzięki starszej siostrze, która studiowała w konserwatorium i w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej. Obie po wojnie ukończyłyśmy studio Galla w Krakowie i występowałyśmy w Teatrze Wybrzeże założonym przez niego. To był nieporównywalny z niczym okres. Dziś wydaje mi się jakby rozdziałem z książki, którą dobrze znam. I z pewnym zdumieniem konstatuję, że to przecież nie książka, tylko samo życie.

– Może warto by ją napisać?

– Mam taki zamiar. Całe życie robiłam zapiski, pamiętniki, notatki i nadal to robię. Sporo materiału się uzbierało, trzeba by tylko jakiś klucz do niego znaleźć.

– Ujawni pani, że myślała także o innych zawodach?

– Myślałam o chirurgii miękkiej albo pracy detektywa.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI
Zdjęcia: ARTUR SZCZUKIEWICZ